WYCHODZI — CO NIEDZIELĘ.
PRENUMERATA W KRAKOWIE WYNOSI: DO KOŃCA ROKU 4 KORONY.
NUMER POJEDYŃCZY 20 h.
20 CENTIMÓW, 20 FENIGÓW, 10 KOP.

GŁOS
LITERACKI I SPOŁECZNY.

WYCHODZI — CO NIEDZIELĘ.
PRENUMERATA ZAMIEJSCOWA WYNOSI: DO KOŃCA ROKU 5 KORON.
ZA GRANICĄ — 5 MAREK, 5 FRANKÓW ALBO 2 RUBLE.

Wydawca: KONSTANTY WOŹNIAK. | Redakcya i Administracya: Garbarska nr. 7. Telefon Nr. 309. | Redaktor: KAZIMIERZ EHRENBERG.

Nr. 9. | Kraków, dnia 9. września. | 1900.

LUCYAN RYDEL.

O! LATA MOJE...

O lata moje, takeście mi zbiegły
Że nawet nie wiem, w którą świata stronę
Oczy za wami obrócić stęsknione.

Czy tam, gdzie wieża z poczerniałej cegły
Jak senne widmo przeszłości odległej
Nosi na czole złocistą koronę
I w zadumaniu stoi skamieniałem;
A gdy się ocknie — serce w niej uderza
Dźwiękiem spiżowym, jako brzęk pancerza,
Pierś jej wybucha grzmiących trąb hej-
[nałem,
I żywym — życia godziny odmierza
A za wiekami umarłymi płacze.
Grała nad moją kołyską ta wieża,
Gdy niańka piosnki śpiewała prostacze
I kiedym rano klękał do pacierza.
Tych trąb i dzwonów słuchałem od dziecka
W mieście, gdzie dotąd moskiewskie kar-
[tacze
Tkwią w starych domach, albo kula szwe-
[dzka.
O lata moje, ile was w tem mieście!
Wy u tych murów jako mech jesteście,
Tam, gdzie za żywych ludzi pokolenia
Modli się ojców duch — w wichru szele-
[ście,
I twarz tam jedna, z każdego kamienia
Patrząca, gada wymową milczenia:
— „Synowie moi — co padło, podnieście!
Póki nie wskrzesnę, łzy, pot i grosz sy-
[pcie!“
I głos tam jakiś stłumiony od żalu
Echem w wawelskiej rozlega się krypcie
Od trumien z głazu i trumien z metalu,
Jak gdyby w każdej martwych prochów
[szczypcie
Płakało żywe serce tych mocarzy,
Którzy w kościele śpią z marmuru kuci,
Niby z uśmiechem spokojnym na twarzy,
Niby ich we śnie jęk ludu nie smuci:
Każdy pogodny w kamiennej koronie,
Choć im koronę wydarto — po zgonie,
I są po śmierci, z królestwa wyzuci!
. . . .

Czasem tak wabi przebyta już ścieżka,
Że się obejrzy dusza i zawróci
Śladem stóp własnych, ale choć zamie-
[szka
W dawnych swych kątach — łzami nie
[ocuci
Kwiatów uwiędłych i próżno otworem
Znów przed oczyma stają znane kraje,
Bo myśl już dawnym nie chce latać torem
I serce samo siebie nie poznaje.

Długo siedziałem dzisiaj przed tym dwo-
[rem,
Co w słońcu świeci bielonemi ściany,
Na klombach astry tysiącznym kolorem
Grają przed gankiem a ciemne kasztany
I srebrne brzozy stanęły w półkole —
A tam, w zachodu jasności różanej
Te nadwiślańskie czernieją topole
Ponad podwórzem; na jednej bociany
Klekocą w gnieździe...

Nieraz zimą w szkole
Nad książką śniłem o tym białym dworze
A w lecie biegłem na pszeniczne łany,
Co falowały kłosami, jak morze.
Żeńcom z daleka wołałem: „Szczęść Boże!“
— „Daj Panie Boże“ mówili żniwiarze,
Śmiały się chłopów ogorzałe twarze
I śmiały mi się jasne oczy dziewek
A ja, usiadłszy na słonecznym skwarze
Słuchałem rozmów i śmiechów i śpiewek

Z cyklu obrazów Józefa Męciny Krzesza.

Ojcze nasz!



Przyjdź Królestwo Twoje.

To znów na progu siadałem w stodole
I do wieczora karbowałem kopy
Albo i nieraz w górę na zapole
Widłami z wozu podawałem snopy;
A gdy ostatnią zwieziono pszenicę,
Jak się cieszyłem, widząc, że przed ganek
W odświętnych strojach idą przodownice,
Ze zbóż i jabłek wity niosąc wianek,
Za niemi żeńce idą przy muzyce
I rozlegają się pieśni żniwiarek...
Ilem ja w tańcu okręcił chłopianek,
Parobkom ile ja nalałem czarek,
Jak przed muzyką rej w śpiewaniu wiodłem!

Codzień koń w stajni czekał mnie pod siodłem
I rżał podemną, gdy ująłem wodze —
Po ścierniach, błoniach i na polnej drodze
Głośnym tententem dudniały kopyta,
Kiedy mnie nosił wyciągniętym cwałem,
Ażem się z wichrem nahulał do syta.
— Taką szlachecką wiejską młodość miałem!
Było mi o czem śnić nad książką w szkole!

A teraz? — Myślę ze smutkiem na czole
I z sercem pełnem milczącej żałoby
Że mi tu brakło tylu drogich twarzy.
Za tą młodością musiałbym na groby
Iść i tych wspomnień szukać... wśród cmentarzy.

Żal mi tych jasnych lat i tego dworu;
Niechaj się z duszy smutek mój wyskarży
Polom niebiosom i zorzom wieczoru.
Jest ukojenie serca nieprzebrane
W takiej ogromnej ciszy pól, — i żale
Wiatr ukołysze wilgotny, gdy stanę
W chłodnym powiewie na wiślanym wale.

Zachód roztoczył promienie różane,
Słońce umiera w purpurowej chwale,
Oparłszy głowę na złotem wezgłowiu
Chmur opalowych. Wisła jak zwierciadło
Z rostopionego srebra i ołowiu
Odbija w sobie te światła i ognie,
Jak gdyby drugie słońce w niej zapadło.
Wiatr silniej czasem skrzące nurty pognie
I nowe z głębi wydobędzie blaski
Jak gdyby na dnie gwiazdy, krew, korale
Płynęły z wodą...
I sinieją fale
Zachód dogasa, mrok pada na piaski
A ja wciąż stoję na wiślanym wale...
. . . .
I tam was szukać, dawne moje lata,
I ciebie moja chłopacza swobodo,
Gdzie głębią niebios — łby Tatr skalne bodą,
A nad Tatrami wicher szumny lata,
Mgłę białą nosi, zgarnia i rozmiata
Tam równo z wichrem fantazya skrzydlata
Leci i nosi ludzką duszę młodą
Ponad przepaści górskie i otchłanie,
Z tęcz, z chmur, z błyskawic dla niej wieńce splata,
Aż dusza, dziwem skamieniała, stanie
I z tą wiecznością granitów się zbrata;
I oczom śnią się cudne sny na jawie:
Pogruchotane kolumny wszechświata,
Łuny od śniegów bijące jaskrawie,
Wód pręga srebrna, co łukiem wytryska
Pęka o głazy i w kropel kurzawie
Zwichrzona, leci na oślep w urwiska
Tam, gdzie w kamiennych rumowisk oprawie
Czarna toń stawu do słońca połyska
I tak się mieni jako pióra pawie
Modro-zielone...
Co ja u ogniska
Prześniłem nocy czarownych, miesięcznych,
Patrząc jak srebrna poświata na stawie
Marszczy się w łuskę dreszczem gwiazd tysięcznych,
A wokół stały spiętrzone ogromy
Tatr, w błękitnawym tonące pomroku
A górą księżyc w różanym otoku
Przepływał ponad granitowe złomy,
I cisza... cisza — a mnie grają w duszy
Z za świata jakieś nadniebne chorały...

O śnie lat moich cudny i znikomy,
Gdziekolwiek wracam dawnym moim śladem
Wszędzie ty stajesz przedemną widomy,
Lecz próżno witasz mnie obliczem bladem,
Próżno mnie cichym czarujesz uśmiechem:
Nie wrócą lata co przebrzmiały z echem
Trąb hejnałowych, ani te co z wodą
Wiślaną przeszły, ni te co z oddechem
Tatrzańskich wichrów pierzchły, jak mgła sina.

Na nowe życie nowe drogi wiodą,
Serce się w przeszłość obejrzało młodą,
Kiedy się męska przyszłość rozpoczyna...

Teoretycy.

Od dwudziestu czterech godzin we wszystkich kołach towarzyskich pewnego miasta rozprawiano tylko na jeden temat. senzacyjny zaiste w potocznem życiu, zresztą jednak nie przedstawiający dla analisty żadnego interesu. Pewien skandaliczny proces odsłonił fakt, że człowiek, cieszący się powszechnym szacunkiem, na każdym kroku w chlubnej drodze swego życia mijał się z kodeksem karnym. Mąż ten występował zawsze w obronie tego, co mu się wydawało dobrem, pięknem i szlachetnem, a sam chodził krętemi ścieżkami; piętnował ostrymi wyrazy każdą nieszczerość czyto w życiu publicznem czy prywatnem, a sam bez ustanku kłamał i oszukiwał, płaszczył się i wyzyskiwał; słynął z ofiarności dla przyjaciół i na cele publiczne, a funduszów dostarczały mu oszczędności mieszczan i chłopów, składane w publicznej instytucyi; uchodził za mecenasa sztuk i nauk, co łatwo mu przychodziło wobec faktu, że wystawił fałszywych weksli za dwakroć sto tysięcy, jednem słowem całe życie trawił wśród fałszerstw, mamiąc opinię publiczną blichtrem swych deklamacyj.

To też wyrok „opinii publicznej“ brzmiał jednomyślnie, na czole skazańca wyryto cały szereg epitetów, mniej lub więcej drażliwych. „Cynik“, „obłudnik“, „hochstapler“ należały do skromniejszych. Niemało zatem zdziwieni byli uczestnicy wieczornej „herbatki“ w salonie jednego z najwybitniejszych adwokatów miasta, gdy wśród dyskussyi gospodarz energicznie wystąpił w obronie biedaka, potępionego werdyktem swych gości: szanownego pana X., wielce czcigodnej radczyni Y., tak bardzo koło kraju zasłużonego posła Z. i t. d.

„Nazywacie państwo bezczelnym obłudnikiem pana C., zarzucacie mu perfidną hipokryzję, niekonsekwencję, rozbrat między słowami a czynami — a przecie są to rzeczy codzienne, które napotykamy przy śniadaniu, w biurze, na sesjach, w salonie, wszędzie wogóle, gdzie znajdują się ludzie przeciętni, tworzący olbrzymią, przygniatającą większość w społeczeństwie. Pomijam tych, co świadomie inaczej mówią, niżby w danym wypadku działali, tych, co pozwalają sobie na wygodny i tani komfort posiadania w zapasie kilku różnych zapatrywań na tęsamą rzecz stósownie do okoliczności, osób i partyj, którzy zatem mogą w innych uznać coś godnem potępienia, co w nich samych jest na porządku dziennym, nie mówię nawet o takich, co to ciągle prawią innym o idealiźmie i bezinteresowności, aby pozbyć się niemiłych konkurentów — prócz nich, a *numerus eorum legio*, jest jeszcze bardzo dużo osób, które rzeczywiście i w dobrej wierze występują z zapałem w obronie zasad. o których objektywnej prawdzie i pożyteczności są jak najmocniej przekonane. a przecie w praktyce, w szarem życiu codziennem popadają w sprzeczność ze sobą samemi. Ludziom tym brak poprostu siły. odwagi, energii czy zdolności do sharmonizowania w sobie teoryi i praktyki, do pozostania sobie samym wiernymi. Może to leży w ich fizycznej konstytucyi, może w próżności, może w zbyt rozwiniętej świadomości, fakt jednak pozostanie faktem: teoretyków liczymy na miliony, ludzi konsekwentnych na palcach“.

Po twarzach obecnych przesunął się cień obleśnego uśmiechu, zaczynali widać myśleć i rozumować, co się im tylko na wielkie święta zdarzało. Mecenas zapalił się w swoim społeczno-moralnym wykładzie i zapatrzony tylko w świat swoich idei nie zauważył, że goście jego okazują leciuchne objawy zdenerwowania.

„Tak, moi państwo, konsekwencja, tak pospolita w naturze, roślinności i świecie zwierzęcym, w świecie myśli ludzkiej jest prawdziwym białym krukiem. Ilu to n. p. mamy teoretyków tolerancyi, pobłażliwości, humanitarnego przebaczania we wszystkich okolicznościach! Tonem najgłębszego przekonania deklamują, że dzieciom należy pozostawić wolność w wyborze stanu, jak i przedmiotu uczuć, zdaniem ich splamiona przeszłość panienki nie stanowi bynajmniej przeszkody do małżeństwa; z całym zapałem wykazują oni, że mąż postępuje racjonalnie, jeśli oszukującą go żonę pobłażliwym całusem ukarze za zdradę. Każdą niepunktualność umieją nasi „teoretycy“ wytłómaczyć, dla najpospolitszych przestępstw znajdą zaraz najszlachetniejsze motywy, a jeśli dowiedzą się o jakiej niezwykle wyrafinowanej zbrodni, to z dobrodusznym uśmiechem powiadają, że nawet

„Psubraty“.

Powieść na tle stosunków współczesnych.

(Ciąg dalszy.)

Finländerowa zbladła. Nie przewidziała takiego obrotu rzeczy. Na ustach jej zjawił się jednak spokojny uśmiech.

— Ach! i cóż te informacye o nas mogły zawierać tak sensacyjnego? Ciekawa jestem, co mogło upoważnić pana do przypuszczenia, że ja w gruncie rzeczy nie chcę, aby mój ojciec nauczył się po hebrajsku.

— Informacye były bardzo krótkie; donosiły przedewszystkiem, że p. Müller przez dłuższy czas przebywał w Ameryce południowej i mieszkał tam w domu Simche Bukszpana w Bnenos Aires; że p. Müller nigdy nie miał dzieci i mieszkał po powrocie z Ameryki do Galicyi zawsze sam; że na niego zwracano uwagę w kahałach galicyjskich, ponieważ Simche Bukszpan nieraz się w listach o niego dopytywał a w ostatnim, jaki napisał przed śmiercią, donosił nawet, że p. Müllera właśnie, wraz ze swoją wychowanicą, uczynił wykonawcami najważniejszej części testamentu; kahały bardzo się tym testamentem interesowały, a to dlatego bo Simche donosił, że w razie gdyby zaszła jakaś przeszkoda w wykonaniu tego testamentu, miljon florenów przypadnie na cele kahalne w Galicyi. To też wybadano, że ten miljon florenów ma być podniesiony przez Unjonbank za pomocą czeka wystawionego na imię pana Müllera oraz pani... — tu zatrzymał się Karpeles i dokończył z naciskiem... Izabelli Finländerowej...

— Czy to już wszystko? zapytała Janinchen mnąc nerwowo batystową chusteczkę.

— Czy mam mówić dalej? — odparł uśmiechając się uprzejmie Karpeles. Czy to potrzebne? Dodam tylko, że kahały poinformowały także mojego rabina o pewnych drażliwych wypadkach w przeszłości pana Gottlieba Müllera i pani Izabelli Finländer, wypadkach które im niemało utrudniają podniesienie pieniędzy. Ale niech pani będzie spokojna. Jeżeli rabin coś nie coś mi o tem napomknął, uczynił to dlatego jedynie, aby za mojem pośrednictwem ofiarować państwu usługi w trudnej sytuacyi. Pani może liczyć na naszą najgłębszą dyskrecyę.

Izabella stała przy oknie i patrzyła z zamyśleniem na przejeżdżające przez Ringi dorożki, powozy, tramwaje i na fale ludzi przepływające przez trotuary. Zastanawiała się nad tem, co ma uczynić i jak rozmawiać z Karpelesem.

— Skoro pan wiesz wszystko — rzekła wreszcie zwracając się nagle — temlepiej. Tajemnicę musiałam zachowywać, bo tak przysięgłam Simchemu i dlatego tylko nie zwracałam się do rabina z prośbą o pomoc i radę. Simche nic mi nie wspomniał, że zawiadamia o wszystkiem kahały w Galicyi.

— On też zawiadomił je w formie bardzo ogólnikowej; reszty dowiedziały się kahały tylko przez swoją organizacyę wywiadowczą...

— Mniejsza o to! Proszę się zapytać rabina kiedy z nim mogę mówić... Z wdzięcznością przyjmę jego pomoc i chcę mu podziękować za ofiarowanie mi jej...

— Ale jest jeden warunek... Ja nie wiem, czy go pani przyjmie... Rabin kazał mi przeczytać testament Simchy Bukszpana i zdać mu z jego treści sprawę. Dopiero wtedy będzie mógł powiedzieć, czy może do tej sprawy rękę przyłożyć. Pani zrozumie tę ostrożność. Nasz pobożny rabin nie chciałby mimowiednie dopomódz do czegokolwiek, coby nie było zgodne z interesem naszego narodu i naszej religji...

Izabella dumnie podniosła głowę i z błyskiem oczu odpowiedziała:

— Czyż imię Simchy Bukszpana nie daje dostatecznej rękojmij, że każda myśl tego testamentu temu jedynie celowi służy!?

— Takby się zdawało. Jednak nasz pobożny rabin żywo jest zaniepokojony dziwnym faktem, że Chrześcijanin został tego testamentu wykonawcą i że pilnowanie interesu żydów opiera się tylko na siłach słabej kobiety.

Izabella wzruszyła ramionami i śmiejąc się odpowiedziała:

— Simche Bukszpan znał dobrze Gottlieba Müllera i siły owej słabej kobiety. Wiedział, co czyni. Rabin może być zupełnie spokojny; żydowskiemu interesowi nie stanie się żadna krzywda...

— Ja muszę jednak mimo to wykonać polecenie mojego rabina i testament przeczytać, — odpowiedział Karpeles, wlepiając świdrujące spojrzenie w piękną twarz Izabelli. — Może go pani zresztą sama zanieść do rabina, jeżeli pani do mnie nie ma zupełnego zaufania...

— Ja złożyłam Simchemu wielką przysięgę, że tego testamentu nikt czytać nie będzie. Przysięgi tej muszę dotrzymać i rabin nie ma prawa odemnie żądać, abym ją złamała...

— Rabin może panią uwolnić od dotrzymania przysięgi, jeżeli go pani o to poprosi. W przeciwnym bowiem razie musiałaby się pani wyrzec naszej pomocy.

— Ha, cóż robić! nie liczyłam na tę pomoc, więc się i bez niej obejdę... Bylebyście mi tylko nie przeszkadzali, to reszta jest mi najzupełniej obojętna.

W głosie Izabelli znać było zniecierpliwienie. Karpeles wziął za kapelusz.

— Jest to zatem ostatnie słowo pani?

— Ostatnie... Testamentu pokazać nie mogę...

— Ogromnie mi to przykro, ale w takim razie nie wolno mi udzielać dłużej lekcyj w domu państwa.. Mam to wyraźnie zakazane....

Izabella utkwiła spojrenie w zapadłych oczach Karpelesa; palił się w nich ogień jakiejś wewnętrznej gorączki. Przez chwilę stali tak w milczeniu, wreszcie Izabella spuszczając oczy, przemówiła szeptem:

— Czy niema takiej ceny, dla którejbyś pan mógł udzielać lekcyj wbrew woli rabina?

Na bladej twarzy rabinowskiego kandydata ukazały się wypieki.

— Co pani na tych lekcyach zależy? Pani po hebrajsku umiesz dobrze i możesz łatwo Gottliebowi treść testamentu przetłomaczyć tak jak pani zechcesz. Moja rola tu jest śmieszna. Jeżeli mam grać jakąś komedyę, muszę wiedzieć na co ją gram...

— Będąc na pańskiem miejscu, zapytałabym się przedewszystkiem, za co ją gram...

— Nie, pani! pieniędzmi nie skłoni mnie pani do nieposłuszeństwa dla mojej władzy. Pani wie dobrze o tem, że pieniądze zarobione w ten sposób nie przynoszą błogosławieństwa, że to są przeklęte pieniądze, które zrodzić mogą tylko głód i nędzę...

— Ja też nie o pieniądzach mówię — panie Karpeles... Ja ofiaruję panu... przyjaźń moją...

Karpelesa ogarnęło lekkie drżenie. Z bladych jego warg wyrwały się słowa.

— Niech mnie pani nie kusi... Co pani odemnie chce...

Izabella chwyciła ręce Karpelesa i pociągając go ku sobie, mówiła nerwowo.

— Słuchaj... Ja ci nie odmówię niczego... Rozumiesz... Podyktujesz mi warunki, jakie zechcesz... Ale ty powiesz rabinowi, że testament czytałeś — opowiesz mu jego treść, jaką chcesz — i zapewnisz mi jego pomoc w wydostaniu tych pieniędzy... Ja ci przysięgam, że niema w tym testamencie nic, coby w czemkolwiek szkodziło sprawie naszego narodu. Przeciwnie — każde jego słowo służy zemście na Chrześcijanach i toruje drogę przyszłości żydom... Ale ja nie mogę rabinowi, ani nikomu zdradzić szczegółów tego testamentu... nie mogę... nie mogę...

Karpelesowi zaćmiło się w oczach. Oddech pięknej kobiety, który odczuwał tuż przy swojej twarzy, mącił mu zmysły... Wreszcie wyszeptał:

— Ja muszę ten testament znać... ja muszę własne uspokoić sumienie... Jeżeli naprawdę jest tak jak pani mówisz — dla tej ceny, której ja pożądać będę, gotów jestem zgodzić się na podejście, jakiego chcesz... Ale ja będę wymagający... słyszysz...

Izabella odsunęła się; głosem chłodnym i obojętnym rzekła:

— Ja pana nie znam i nie wiem kto pan jesteś... Jakież ja mogę mieć do pana zaufanie! Któż mi zaręczy, że zapoznawszy się z treścią testamentu, nie weźmie nad panem góry poczucie obowiązku wobec przełożonego i czy go pan nie wtajemniczysz we wszystko! Dostarcz mi pan takich rękojmi, a wtedy dam panu do przeczytania testament. Przedtem nie...

— A jakąż ja będę miał rękojmię, że pani dotrzymasz swojego przyrzeczenia...

— Oto mój zadatek — rzekła Finländerowa, podając mu swoje purpurowe, miękkie, wilgotne wargi.

Leib Karpeles wpił się w nie namiętnie. Izabella odsunęła go po chwili łagodnie i podając mu rękę na pożegnanie, zniknęła w progu drugiego pokoju, rzucając słowa:

— Czekam pana jutro o tej porze z odpowiedzią od rabina.

Karpeles, trzęsąc się ze wzruszenia, wyszedł na ulicę, a w duszy jego rozgrywała się gwałtowna walka.

(D. c. n.) *Wacław Pancerz.*

poszkodowany powinien być na tyle objektywnym, żeby umieć ocenić talent i spryt łotra i przebaczyć mu po chrześciańsku. Wszelkie zarzuty zbijają zwycięsko dewizą, która ciągle znajduje się na ich ustach: „*Tout comprendre c'est tout pardonner.*“ Starczy im ona za bezpieczną tarczę przeciw pociskom zarozumiałych dogmatystów.

Nareszcie przypadek, los, czy Opatrzność stawia ich w sytuację, dla której tylekroć obmyślili już i wyjście i sposób działania — ha, jak marnie wygląda wtedy ich dewiza! Oporność swoich dzieci, złamanie wiary małżeńskiej przez żonę, niepunktualność finansową sądzą oni teraz z całkiem innego punktu widzenia; hasło, którem wiecznie wojowali, straciło nagle sens wszelki, zapomnieli o tolerancyi i pobłażliwości; cnoty te i siebie samych wraz ze swoją teorją odnajdują dopiero wtedy — gdy idzie o drugich.

A przecież ci ludzie nie blagowali, nie uprawiali faryzejstwa, wierzyli uczciwie w swoje zasady. Zastosować można do nich aksjomat genialnego niemca: W praktyce nikt nie jest tolerancyjny.

Goście mecenasa pochylili głowy przed nieznanym sobie cytatem. Oponować nie śmiał nikt, natomiast zdenerwowanie i kwas na twarzy wzrosły o kilka procent. Rozumie się, że nikt z nich nie należał do teoretyków tolerancyi. Gdzieżby zaś....

Gospodarz rozgadał się na dobre, albowiem vinum laetificat cor hominis czyli przy winie nawet kołek w płocie gotów jest wyrecytować „university extention“.

Idźmy dalej, moi państwo. Poznaliśmy już liberalnych, tolerancyjnych teoretyków. Niemniej licznym jest obóz teoretyków zasad demokratycznych, wierności własnym przekonaniom, bezinteresowności w życiu publicznem. Serce ich wzbiera zawsze rzetelnem oburzeniem na samo wspomnienie liter ks., hr., br. Eksc., lub orderów drugiej i trzeciej klasy. Obecność w salonie jednego arystokraty czyni im dłuższy pobyt niemożliwym, żaden wyraz nie jest dla nich dość silny, aby napiętnować kogoś, co dla interesu sprzeniewierzył się głoszonym przez siebie zasadom, monopol postępu, stałości, posągowej niewzruszoności oni zadzierżyli... A przecie małym tytulikiem radzi wyróżnią się od motłochu, nie wzgardzą wstęgą choćby dziesiątej klasy, a kilka słów, skierowanych do nich przez uprzejmą księżnę, pozostawia im na życie, jak najmilsze wspomnienie. Bywają wypadki, że — teoretycznie w najlepszej wierze — budzą się pewnego poranku z tytułem i... i z innemi zasadami, za lat parę posuną się nawet spory kęs... na prawo.

— Czy dużo jeszcze mecenas wyliczy teoretyków? — zapytał kwaśnym jakimś tonem redaktor codziennego pisma i poseł do Rady państwa.

— Kilka jeszcze — spokojnie odrzekł adwokat. Obecni, którzy już chcieli odetchnąć, przybrali napowrót, uważne, wyczekujące miny.

O teoretykach religijnych nie będę się obszernie rozwodził, sam Kościół przewidział, że każdy wierny będzie w wielu wypadkach tylko teoretykiem, inaczej nie byłby nakazał wszystkim spowiadać się bezwarunkowo przynajmniej raz w roku. A przecie nikt z obecnych tu panów nie będzie twierdził, że ludzi religijnych z przekonania i zasady jest dużo, bardzo dużo.

— Za dużo — dodał z uszczypliwą miną postępowy redaktor, głaszcząc swą płaską i łysą czaszkę.

Panie żachnęły się nieco, koncepista starostwa przybrał urzędową minę.

— Nie sądzę, redaktorze — odparł mecenas, — zasady absolutnego dobra i nieskończonego szczęścia, choćby nawet były czysto subjektywne, nie mogą mieć nigdy za dużo zwolenników. Ale idźmy dalej. Chciałem wspomnieć jeszcze o grupie teoretyków, która dzisiaj, kiedy w modzie jest Schopenhauer, Anatol France, Ibsen, obejmuje ogromną ilość przeciętnych inteligentników. Jeśli według Vichera istnieją „dyletanci w ateizmie“, dlaczegożby nie mieli istnieć teoretycy w pessymizmie?.... Teoretycy ci wyrobili sobie z książek, gazet, z cudzych pamiętników ponury pogląd na świat i sądzą, że posiedli znajomość duszy ludzkiej, która ich uprawnia do pogardzania wszystkimi i do przeczenia wszystkiemu. Nic nie byłoby w stanie zaskoczyc ich lub wyprowadzić z równowagi! Wiedzą przecież dobrze, że niema wiecznej małżonki, niewinnej dziewczyny, nieprzekupnego człowieka, że heroizm, altruizm, przyjaźń nie przedstawiają nic objektywnego, że ludźmi rządzi prawo walki o byt i egoizm... Wszystko wiedzą. Ale gdy po raz pierwszy są świadkami faktu, zgadzającego się z ich teoryą, a dotyczącego ich osobiście, jakież przygnębienie maluje się na ich twarzy! Prawda, że o tym człowieku lub o tej kobiecie robili jak najgorsze przypuszczenia, ale że on, czy ona ośmielili się rzeczywiście być takimi! Więc to tak naprawdę jest! Nietylko w romansach i na scenie! Ludzie mogą być de facto tak źli, tak podli, tak obłudni!... I z dziecinną ciekawością teoretycy nasi wyszukują nowe szczegóły, które wprawiają ich w nowe, naiwne zdumienie i oburzenie. Kilka nawet podobnych zdarzeń nie robi jeszcze tych zblazowanych teoretyków pesymistami czynu; nawet w nienawiści i pogardzie do ludzi są oni małymi, miękkimi, połowicznymi.

Feljetonista codziennego pisma z rozczochranymi włosami i melancholicznem, słodkiem jak lukrecja spojrzeniem, wiercił się niespokojnie na krześle, zwracając na się uwagę dam.

— Takich pessymistów mamy wśród młodzieży bardzo wielu, wykładał dalej mecenas, patrząc na kudłatego feljetonistę, i ci wydają się mi najgłupsi, bo najpierw teorja ich jest dość łatwą do urzeczywistnienia, a przytem niedaleką od prawdy, a może i całkiem prawdziwą.

Ze wszech stron posypały się protesty, mecenas replikował, rozmowa zeszła na inne tory. O „teoretykach“ niebawem zapomniano, po dyskussyi o pessymiźmie przyszła kolej na debatę literacką, Sienkiewicza, wystawę paryską, wybory etc.

Już prawie na odchodnem zapytałem mecenasa o dalsze grupy teoretyków.

„Phi, panie, prawdę powiedziawszy, „teoretyzowanie“ leży w naturze ludzkiej i można znaleźć je w każdej gałęzi myśli i działalności ludzkiej i w każdej na stu wyznawców znajdziesz pan 90% teoretyków — teoretyków używania, którzy schodzą na skąpców; teoretyków przyjaźni, są nimi wszystkie kobiety; teoretyków humanitarności, wydających tysiące na cele publiczne a wyzyskujących bez miłosierdzia swoich podwładnych... możnaby wyliczać bez końca. Ot, człowiek jest maszyną do generalizowania, tworzenia ogólników, zasad, aksjomatów, teorematów, aforyzmów tak jak jabłoń do rodzenia jabłek...

— Zatem nie warto uznawać żadnej teoryi, mającej związek z życiem praktycznem?

— Ba, kiedy samo nieuznawanie żadnej teoryi jest już teorją, bo sceptycyzmem w życiu praktycznem, nie prowadzącym do niczego, albo raczej prowadzącym bardzo często do marnowania się ludzi.

— A zatem konkluduje mecenas?

— W tej chwili zbliżył się redaktor z kudłatym feljetonistą. Pożegnałem mecenasa i po drodze rozmyślałem, czy i ja też nie jestem „teoretykiem“. Odpowiedź wypadła... „peccavi!“

FRANCISZEK ŻMURKO.



Wspomnienie.

Wczesna jesień.

Nowelka.

Był upalny lipcowy dzień. Słońce wysilało całą swą palącą potęgę, wysysając chciwie każdą żywszą barwę z krzewu i kwiatu, zginając ku ziemi przed swym majestatem wszystko, co ośmieliło wznieść głowę i patrzeć w oślepiające oblicze tyrana.

Zgięte trawy chyliły się pod brzemieniem przesyconego słońcem powietrza — polne kwiaty przegięte bezwładnie na wyschłych łodygach zdawały się w rezygnacyi czekać zachodu i rosy. Przydrożne miały główki posypane popiołem spalonej ziemi i całowały ją — matkę i żywicielkę swoją.

A słońce szło dumne nieubłagane swym szlakiem po wysokiem niebie a każdym kłującym promieniem mówiło: „Jestem!.. jestem życiem i śmiercią, budzę i usypiam, rodzę i zabijam!..“

Polną drogą szło dwoje ludzi obojętnie obok siebie, jakby wcale do siebie nie należeli.

On zdjął słomiany kapelusz, odgarnął z spoconego czoła włosy i odetchnął gorącym tchem lipcowego południa. Spojrzał na towarzyszkę swej drogi. Szła przy nim cicha, zgarbiona w perkalikowej swej sukience i trącała bezmyślnie parasolką w łodygi umęczonych upałem traw. Chciał coś powiedzieć, lecz przypatrzył jej się lepiej, przebiegł oczyma jej postać i spotkał się w tej chwili z jej zmęczonym szarych źrenic wzrokiem.

Ona to spojrzenie uchwyciła i zrozumiała i tylko większe zmęczenie i rezygnacya odbiła się w jej rysach.

Szli dalej...

Na skręcie drogi ciągnęło się z jednej strony wielkie pole ze śladami niedawnego żniwa. Leżały jeszcze miejscami pęki zeschłych uronionych ze sprzątu kłosów. Pole ciągnęło się szeroką płaszczyzną lekko wzdętą ku północy.

Na wierzchu pagórka wzniesiony znacznem oddaleniem od drogi szedł człowiek przy pługu i kierował parą koni. Niżej pagórka widniało pod stopami oracza kilka szerokich zagonów czarną smugą ziemi.

— Patrz! już orzą! — rzucił człowiek idący gościńcem wskazując towarzyszce ręką ku zoranym zagonom.

— W lipcu! — dodała kobieta.

— Wczesna jesień — zauważył młody człowiek. — Wczesna jesień — powtórzył.

Szli dalej.

Teraz ona ukradkowo rzuciła spojrzenie na niego. W blasku słońca energiczne jego rysy i opalona twarz nabrały jakichś ostrych konturów. We wzroku jego czytała to, czego nigdy jej nie mówił, a co instynktownie odczuwała.

Czytała w jego oczach wyczerpanie i zmęczenie, zawód i rezygnacyę. Widziała w czarnych włosach białe pasma a zmarszczki we twarzy.

Jesień — wczesna jesień!

Nagła, straszna myśl przebiegła jej mózg: Czy ona czasem nie jest tym jego smutkiem i zmęczeniem, rezygnacyą i wyczerpaniem. Czy nie jest ona czasem tą nadchodzącą szarą jesienią jego życia?!..

Tymczasem człowiek na górze zaorywał dalszą skibę.

On — wpatrzony w oracza powtarzał w duchu: Lipiec — a już jesień!..

Przyroda w pełni życia i życiodajnej namiętności już spełniła co spełnić miała. Mimo pozorów życia kładzie się do spoczynku i rozbrat bierze ze słońcem, roślinnością i człowiekiem. Ona już więcej nic nie wyda w tym roku i na tym kawałku ziemi.

Przypomniał sobie ten sam szmat gleby przed kilku miesiącami, zapach wiosennej ziemi, słońce łagodne i ciepłe i młodą zieleń — na tem miejscu, gdzie dziś ziemia odkryta ostrzem pługa pokazuje czarne łono.

I wtedy szedł z kobietą podobnie jak dzisiaj, ale szedł blisko niej. Oczy jej były pogodne i źrenice czyste. Czuł się do niej tak przynależnym i dusze ich harmonizowały tak ze sobą, jak świeża zieleń z łagodnym błękitem nieba, jak woń wiosenna ziemi z zapachem młodego jej ciała.

To było — na wiosnę.

Szli dalej — a oracz na górze coraz to niżej krajał skiby i coraz to zbliżał się do drogi po której postępowali.

Ona szła przy nim cicha, zgarbiona w perkalikowej swej sukience trącając bezmyślnie parasolką w łodygi umęczonych upałem traw.

Spojrzał raz jeszcze na oracza i czarne skiby na górze.

— Jesień!.. wczesna jesień!...

K. K.

Z przed lat trzydziestu.

W dniu 2 września minęło trzydzieści lat od krwawej bitwy sedańskiej. W Paryżu odżyła na nowo w całej swojej grozie pamięć tragicznego dziejowego momentu, który nietylko rozstrząsnął o losie ówczesnego cesarstwa francuskiego, lecz zarazem wytrącić miał koronę z rąk dynastji wielkiego cesarza Francuzów.

Dynastja przeżyła cesarza zaledwie o dwa dni. Ponura wiadomość o klęsce sedańskiej nadeszła do Paryża w dniu 3 września. Przez cały dzień następny trzymano ją w tajemnicy. Wątpliwe pogłoski o walnem zwycięstwie, o rozprószeniu armij niemieckich, podawane z ust do ust, zelektryzowały ludność stolicy. Dopiero późnym wieczorem tłum dowiedział się o całej prawdzie. Ciemności nocy sprzyjają rozwojowi tajnych konspiracyj, lecz rewolucje zwykły wybuchać w dzień biały. To też nazajutrz dopiero powstał Paryż, ażeby sądzić winnych. Co się wówczas działo na ulicach miasta, na to patrzyły oczy stutysięcznego tłumu. Zajścia w Tuileriach miały wszelako mniej świadków, a o ucieczce cesarzowej rejentki długi czas potem krążyły w ustach ludu najdziwniejsze legendy. Sześć osób tylko znało szczegóły tej ucieczki. Z tych do dziś dnia pozostał jedynie przy życiu obecny ambasador przy dworze wiedeńskim hr. Nigra.

O godzinie szóstej rano odezwał się dzwonek z sypialni cesarzowej. Pokojowa, która poprzedniego wieczoru pomagała rozbierać się swojej pani, znalazła łoże jej nietknięte. Cesarzowa przybrała skromną czarną suknię jedwabną i udała się do kaplicy pałacowej, aby wysłuchać Mszy św. O godzinie ósmej stawiła się na radzie ministerjalnej. Uczestniczył w niej również jenerał Trochu, który w kilkanaście godzin później przejść miał na stronę republikanów. Ministrowie zauważyli, że pomimo duszącego upału, monarchini zarzuciła na ramiona jedwabne okrycie. Febra wstrząsała nielitościwie jej ciałem, lecz cesarzowa używała wszelkich wysiłków, aby zapanować nad wzruszeniem wewnętrznem. Deputacye odwoływały ją co chwila. Przyjmowała je w sąsiednim salonie. Jedna po drugiej nieszczęsne wieści spadały jak grom po gromie na pobladłą od wzruszenia Eugenję. Wreszcie donoszą, iż lud gotuje rewolucyę. Ministrowie zaklinają cesarzową, aby szukała ratunku w ucieczce. W tejże samej chwili zjawiają się w pałacu książę Metternich i hr. Nigra, austrjacki i włoski ambasador, i ofiarowują jej swoje usługi. Nareszcie odwaga opuszcza cesarzową: „Wszystko skończone“, szepce nieszczęśliwa kobieta.

Cesarzowa biegnie do swojej komnaty sypialnej i wkłada podróżny kapelusz. Tymczasem pod oknami pałacu tysiączne tłumy napływają olbrzymią, a wzburzoną falą, podczas gdy na rozkaz jenerała Helleneta cesarska flaga, zwiastująca obecność monarchini, zostaje spuszczoną na dachu pałacowym. Cesarzowej w tej strasznej chwili towarzyszy jedna tylko dama pałacowa, hrabina de la Poëze, która nakłania panią swoją do spożycia skromnego posiłku. Cesarzowa zarzuca na siebie biały płaszcz podróżny, zasłania twarz gęstym woalem i wsparta na ramieniu hr. de lą Poëze schodzi do przedsionka pałacu, gdzie oczekują na nią oprócz dwóch zagranicznych dyplomatów, admirał Jurien de la Graviere, kapitan Conneau i pani Lebreton, lektorka cesarzowej, która przez lat trzydzieści wytrwała wiernie u boku monarchini.

Tych sześć osób zbiegło po schodach wiodących do skrzydła, przeznaczonego dla następcy tronu, gdzie za bramą dziedzińca oczekiwał powóz księcia Metternicha. Kapitan Conneau wybiegł pierwszy na podwórze, aby rozkazać otworzyć bramę, strzeżoną przez straż gwardji narodowej. Lecz w tej samej chwili wzburzony tłum wpada i z tej strony pałacu tak, że nieszczęśliwi zbiegowie mają zaledwie czas schronić się w głąb korytarza, łączącego Tuillerie z Louvrem. Admirał de la Graviere i kapitan Conneau pozostali na dole, aby w potrzebie własną piersią zasłonić uciekającą monarchinię.

Z owego korytarza szczęściem można było również wydostać się na ulice Paryża przez salony galerji Louvru. Atoli drzwi do muzeum były zamknięte, a ze służby, która wszystka przyłączyła się do rewolucji, nikt nie pozostał w opuszczałym pałacu. Z wielkim trudem pani Lebreton udało się odnaleźć pęk kluczów, z których jeden otworzył nieszczęsne drzwi galerji. W ten sposób po upływie godziny cesarzowa znalazła się na placu Saint Germain de l' Auxerrois, gdzie tłumy ludu poczynały się już gromadzić. Książę Metternich i hr. Nigra przedarli się przez zbite masy ludu, w nadziei, że uda im się odszukać i sprowadzić powóz ambasady austrjackiej. Obydwie kobiety pozostały same. Nagle odzywa okrzyk: „Tiens, voila l' imperatrice!“ Obdarty jakiś wyrostek, historyczny chłopiec szewski, który jakby cudem, zwykł zawsze w podobnych pojawiać się momentach, rozpoznał cesarzową Francyi poza gęstą zasłoną woalu. Cesarzową Eugenię wstrząsnął dreszcz grozy, lecz lud okazał się tym razem wyrozumiałym. Upadek tronu nie spowodował był do tej chwili jeszcze przelewu krwi i jakkolwiek przeklinano Napoleona, musiano uszanować kobietę w cesarzowej. Bądź co bądź był to moment niezwykle krytyczny. Szydercza uwaga pierwszego lepszego półgłówka lub fanatyka łatwo mogła popchnąć zapalone głowy do zbrodni. Obydwie kobiety stały bezradne wśród złorzeczącej im tłuszczy.

Zwolna złowrogi krąg dokoła dwóch kobiet jął zacieśniać się i niebawem książę Metternich, który powracał z pomocą, nie zdołał już przebić się przez zbitą gromadę ludu, wśród której uwięziona drżała z przerażenia nieszczęśliwa monarchini. Tymczasem każda sekunda zwłoki groziła katastrofą, której niezawodnie nie uniknęłaby cesarzowa, gdyby nie przytomność umysłu pani Lebreton. Spostrzegłszy z dala poprzez głowy tłumu nadjeżdżającą dorożkę, pani Lebreton pociągnęła za sobą cesarzową i po nadludzkich prawie wysiłkach, potrafiła dotrzeć aż do drzwiczek powozu, w którym natychmiast umieściła swoją panią. Pierwsze i najgroźniejsze niebezpieczeństwo było usunięte, lecz należało szybko zdecydować się, dokąd skierować się teraz, aby nareszcie dostać się w miejsce zupełnie bezpieczne. Cesarzowa mogła być znowu poznaną, a wówczas ginęła wszelka nadzieja ocalenia.

„Dokąd jechać moja dobra Lebreton?“ westchnęła cesarzowa. Jest to już smutnym przywilejem głów ukoronowanych, że w nieszczęściu brak im przyjacielskich domów, pod których dachem opiekuńczym szukać schronienia. Prawo do tego przysługuje jedynie zwyczajnym śmiertelnikom. Lektorka znalazła radę — zamyśliła się na chwilę: „Znam pewnego szlachetnego człowieka“, rzekła w końcu „pewnego amerykańskiego lekarza dentystę, doktora Evansa“ i dorożkarz skierował konia ku mieszkaniu doktora Evansa, który szczęśliwym zbiegiem okoliczności znajdował się w domu i gościnnie przyjął cesarzową. Stąd cesarzowa Eugenia schroniła się do Anglii. Szczegóły i tej także ucieczki pozostały tajemnicą przez długie lata. Nazajutrz po wyżej skreślonych wypadkach, pojawiły się w Paryżu pamflety gwałtownie obwiniające cesarzową Eugenię. Równocześnie głębokie rozgoryczenie ogarnęło ludność Francyi całej, przeciwko tej, na którą motłoch paryzki zwalił całą winę krwawej wojny.

Nocą opuściła powozem Paryż. Końmi dotarła po dwudniowej podróży do wybrzeża morskiego, gdzie również pod osłoną nocy na wynajętym spacerowym jachcie opuściła niegościnną ziemię francuską. Podróż morska cesarzowej była niezmiennie burzliwa. Więcej niż po dwadzieściakroć groziło jej ponure widmo śmierci w wzburzonych nurtach oceanu. Cesarzowa czuła się bliską zgonu i wyrzekła do pani Lebreton następujące słowa:

„Śmierć będzie dla mnie w chwili tej wielkiego zamięszania pożądanem i słodkiem wybawieniem. Nikt nie wie dokąd się skierowałam. Jeżeli zginę teraz nikt nigdy nie dowie się, co stało się z cesarzową Eugenią. Niedocieczona tajemnica zakryje koniec dni moich“.

Opatrzność wszelako nie chciała wziąść jej z tego świata. Przeznaczała ona jej raczej długie jeszcze i pełne bolu życie. W dzisiejszych czasach cesarzowa odwiedza często Paryż, to miejsce tylu wspomnień świetnych i bolesnych. Mieszka wówczas zwykle w jednym z hoteli przy ulicy Rivoli, z którego okien spoglądać może na pozostałą jeszcze bramę tryumfalną i ogród pałacu Tuillerie, tego jej pałacu ongiś, w którym rozegrała się była smutna tragedya jej życia. Nieraz wyjeżdża na gwarne ulice stolicy i zatrzymuje się lub wysiada w miejscach gdzie świeciła niegdyś jasna jej gwiazda. Lecz Paryż zapomniał o dawnej swojej monarchini. Cóż ona dałaby dziś za to, aby jakiś obdarty chłopiec szewski zawołał: *Tiens, voila l' imperatrice!* Lecz nie znają jej — zapomnieli; tylko ona zapomnieć nie może.

Bakterye w święconej wodzie.

Niedawno zdarzył się w Holandyi, w mieście Arnhem wypadek, budzący ogólne zainteresowanie. Jeden z obywateli miasta Arnhem niejaki Bruns przyszedł z swoim siedmioletnim synkiem do kościoła. Po chwili chłopak zaczął trzeć lewe oko i poskarżył się ojcu, że czuje w niem dotkliwy ból. Zawezwany do dziecka lekarz dr. Fockema, spostrzegł z przerażeniem po kilku dniach, że chłopcu nie tylko nie jest lepiej, ale że grozi oku wielkie niebezpieczeństwo. Poradził przeto ojcu, aby się zwrócił o poradę do znakomitego holandzkiego okulisty, profesora Suellena w Utrechcie. Po trzech miesiącach dotkliwych cierpień i po przebyciu bolesnych operacyi udało się profesorowi Suellenowi przyprowadzić chłopca do zdrowia.

Chłopak twierdził, że uczuł ból z tą chwilą, gdy kropla wody święconej, którą się żegnał, wpadła mu do oka. Te słowa chłopca zainteresowały obu lekarzy. Dr. Fockema twierdził, że to co syn p. Brunsa twierdzi, jest „bardzo możliwe“, a prof. Suellen był nawet zdania, że to, jest „bardzo prawdopodobne“. Powyższy wypadek poruszył cały kraj. Duchowieństwo katolickie, które stoi w Holandyi na wysokim stopniu inteligencyi, z arcybiskupem utrecheckim Weteringem na czele, zajęło się żywo tą kwestyą. Wodę święconą z kilku kościołów w Amsterdamie oddano do zbadania tamtejszemu hygienicznemu laboratoryum. Badania wykazały, że w jednym gramie wody święconej znajduje się 810.000 bakteryi. Znaleziono tam ameby, napółzbutwiałe części roślinne, włosy, nitki wełniane i t. p. W Kavelaar okazało się, że woda w tamtejszym kościele już po kilku godzinach była przepełniona bakteryami.

P. Bruns nie szczędził trudu, zwiedzał mieszkania niższych klas i doszedł do bardzo ciekawych pod tym względem rezultatów. Mieszkania tych ludzi są w większej części szczupłe; o jakiejś hygienie mowy nawet niema. Oczywiście nie jestto wyłączenie wina samych mieszkańców. Małe zasoby materyalne zmuszają ich do ciągłego ograniczania się, odmawiania sobie najpierwszych nieraz potrzeb codziennych. Ci ludzie mają często sposobność zaledwie raz na dzień obmyć sobie ręce. Na małej przestrzeni cała rodzina, złożona z kilku osób, załatwia wszystkie swoje interesa, tam śpi i pracuje, zdrowi przebywają obok chorych wśród dusznej atmosfery, pełnej niewidzialnych zabójczych mikrobów. Kobiety z ludu, które są zarazem matkami, muszą w domu wszystko same sporządzać, od rana do wieczora muszą myśleć o tem, jak rodzinę wyżywić i skąd na to wziąć pieniędzy. Te kobiety nie mają chwili wolnej, aby pomyśleć o swej toalecie. A przecież ta klasa najwięcej odwiedza kościoły, to też niedziw, że woda święcona zawiera tyle bakcylów. Kiedy p. Bruns zwracał uwagę tych ludzi, iż sposób ich życia jest fatalny dla zdrowia, otrzymywał najczęściej odpowiedź: „Tak było zawsze dotąd i było dobrze. Dlaczegoż miałoby się zmienić na gorsze?“

Pan Bruns podaje, jako środek, któryby zapobiegł na przyszłość wypadkom tego rodzaju, jaki się zdarzył jego synowi, aby po kościołach urządzono kropielnice w ten sposób, iżby woda spadała kroplami na podstawioną rękę. Myśl ta bardzo się podobała arcybiskupowi utrecheckiemu i obecnie są już zaprowadzone w całej Holandyi kropielnice według wskazówek p. Brunsa.

Echo kąpielowe.

Ragaz 18 sierpnia.

Opuszczając Ragaz przed kilku laty, napisałam w podróżnej notysce: „Jeżeli nie będę miała sposobności powrócić w te okolice, będę o nich myśleć z przyjemnością“.

Otóż stała się rzecz odwrotna. Nie miałam czasu myśleć o Ragaz, ale powróciłam tu chętnie, witając jako dawne znajome góry poszarpane naprzeciw kurhausu, ruiny i skały, te same, spokojne, jakby się na świecie u ich stóp lub za ich czołem nic nie zmieniło.

Inaczej z kuracyuszami. Nie ma już dawnych staruszków, którzy zgarbieni, pochyleni, odnajdywali siły w letnich falach ożywczego źródła. Zastąpiły ich całe szeregi nowych, którzy kroczą miarowo w godzinach oznaczonych pod cieniem gęstych drzew, lub obracają się za słońcem.

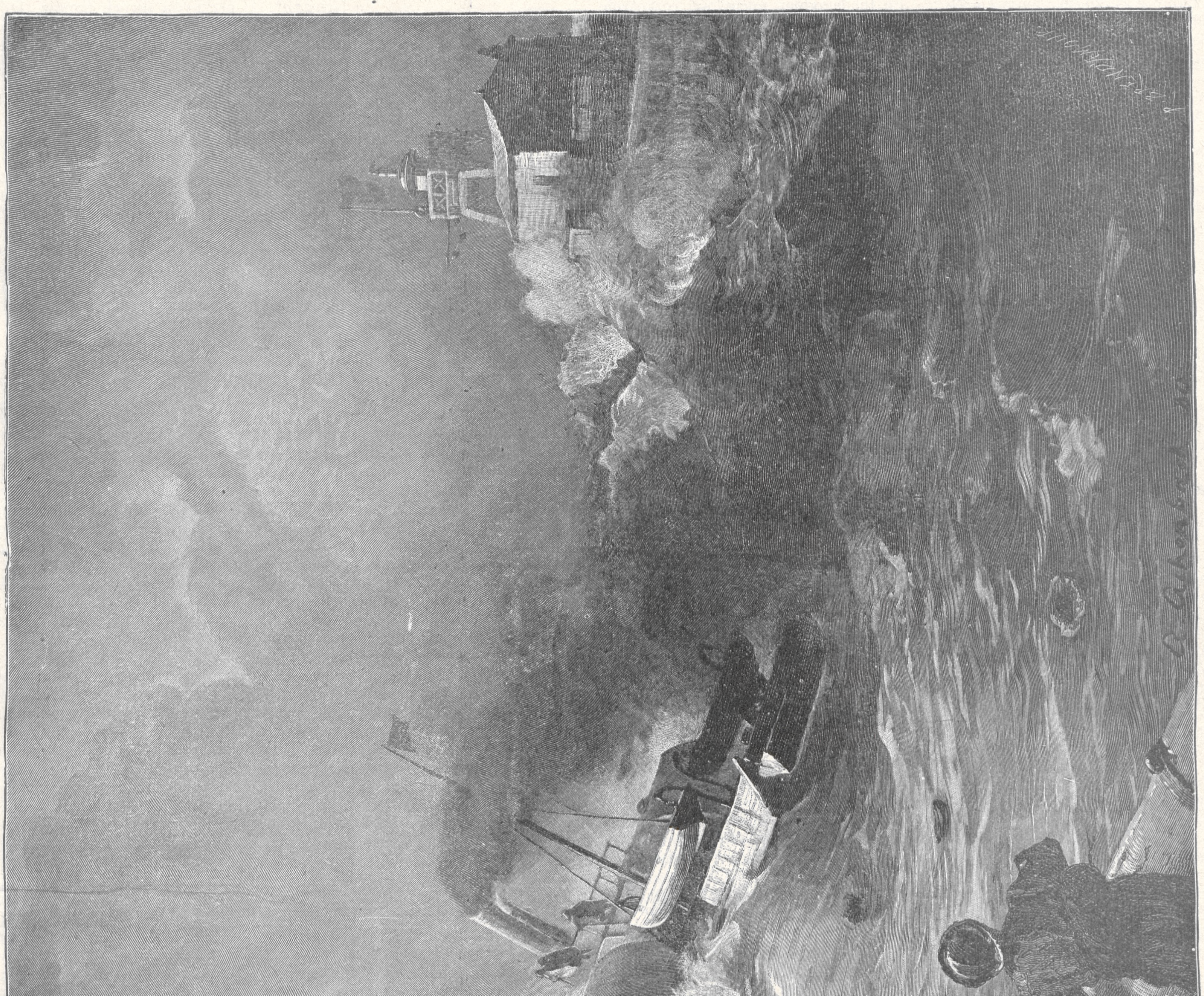
Ranek cały prawie wyłącznie należy do kąpieli i wypoczynku po niej. Goście rozpraszają się po kilku zakładach: Helena-Bad, Neu-Bad, Dorf-Bad, Mühle-Bad, aby w kaflowych obszernych łazienkach rozkoszować się ciepłą, kryształiczną wodą, która ustawicznie przepływa i odpływa, a zachęca tak, że coraz dłużej miałoby się ochotę w niej pozostawać.

Jesteśmy jednak rozsądniejsi niż kuracyusze z przed kilkuset laty. Wtedy źródło gorące jeszcze nie było opanowane. Rury nie doprowadzały posłusznie wody z urwisk skalnych w Pfäfers do wesołej i pogodnej doliny w Ragaz. Wśród czeluści przepastnych i odłamów głazu, spuszczano chorych na linach, a ci u źródła w pokorze ducha i skrusze, wśród przerażającej dzikości natury odbierali zdrowie dziękując Bogu, że właśnie w tej grozie dał im żywot zbawczy.

Teraz wiadomości te należą do archiwów Ragaz-Pfäfers, bo życie ułatwione według ostatniego wyrazu komfortu, płynie cicho, kołysząc się lekko w takt sentymentalnych melodyi operowych.

Orkiestrą z St. Gallen dyryguje cztery razy na dzień p. Ochs i raz jeden jeszcze dowodzi, jak filozofowie scholastyczni mieli słuszność twierdząc, że nazwa a rzecz sama, to dwa zupełnie odrębne pojęcia. P. Ochs, w przeciwieństwie do swego przeżuwającego imiennika, jest prawdziwym artystą i robi audytoryum koncertów w Ragaz uciechę, gdy w programie umieści swoje skrzypcowe solo.

Do jakiego stopnia goście kąpielowi zajęci są jedynie kuracyą dowodzi, że proszono, aby jedną z rzadkich w tym sezonie zapowiedzianych zabaw tańczących zamieniono na zwykły koncert, co też w istocie miało miejsce. W naszych wodach, podobne żądanie byłoby dzięki Bogu niepodobieństwem. Pochodzi to może stąd, że Ragaz uchodząc za rendez-vous kosmopolitycznego świata, gromadzi jednak przeważnie Amerykanów i Anglików a więc wysoko nie asymilujący się żywioł. Nie brak bowiem ani różowej dziecіarni, ani stroj-



Burza na morzu.

nej młodzieży o nader rozmaitych a nierzadko bardzo pięknych typach. W tym barwnym tłumie giną szare gwiazdy wielkości naukowych, niestety nierozpoznawalne między zwykłymi śmiertelnikami, jak Freycinet, Salisbury, ks. Hohenlohe-Schillingsfürst. Od niedawna przebywa tu jakiś Anglik ożeniony z księżniczką indyjską. Że dzieci i służba mają każde inny odcień skóry, przeto villa przez nich zamieszkała przypomina kolonie zamorskie na wystawie paryskiej. Z Polaków oprócz Dr. prof. Jordana, zanotować można kilka nazwisk i to jedynie z listy obcych, bo nikt się nie łączy, nikt nie zaznajamia i każdy z największą swobodą używa na wypoczynku i piękności okolicy. Odosobnić się można najzupełniej; obszerny park, zalesione góry okoliczne, dają niekiedy złudzenie uroczystej ciszy naszego wschodu, prócz ponurych ścian Falknissu, Monte-Luny, Szarych-Rogów zamykających zewsząd widnokrąg.

Koniecznem jest dla odmiany spotkać się z wielojęzycznym tłumem przy obiedzie i kolacyi. *Table d'hôty* są tłumnie uczęszczane, niedrogie i obfite w godzinach oznaczonych. Dla tych co się zagapiają na górach lub wspaniałej drodze nad Taminą, obiad osobny po cenie od 2 do 3 fr. Próbowanie restauracyi tańszych, gdzie nie podają francuskiego *menu*, jest o wiele mniej praktyczne. Potrawy są przyrządzane w sposób dość niespodziewany i obliczony na szwajcarskie podniebienia, jak mi się zdaje nie tyle sławne, co sery i widoki Helwecyi!

Ze śniadaniem można się lepiej zgodzić. Mleko, herbata lub kawa z konfiturami i miodem. Oto szczegóły potrzebne ze względu na tę okoliczność, że duch ochoczy mknie do szczytów gór i wyżej a ciało mdłe wyzyskuje te zachwyty i podwójny rachunek każe sobie za nie płacić.

Trzydzieści kilka dzienników codziennych w kasynie i tyleż tygodników i miesięczników do dyspozycyi w czytelni. Gdyby ten zasób drukowanych szpalt nie wystarczał, za franka na tydzień można osobno abonować książki o wyborze zupełnie bezbarwnym, a zatem bardzo hygienicznym.

Ragaz i Pfäfers jak przeważna większość własności szwajcarskich, należy do gminy i kantonu. P. Simon zmarły przed trzema tygodniami milioner posiadał tylko pierwszorzędne hotele Hof-Ragaz, Quellenhof i wydzierżawione źródło na lat sto 30 z nich już upłynęło, w błogiej i niezmienionej obfitości wylewu wody ze źródła gorącego do Taminy, a przypływu franków i dolarów do kieszeni Simonów.

W stosunku do tych bogactw, zmian nie wiele. Sala jadalna Quellenhofu została udekorowana w stylu secesyi. Medaliony plafonu zdobią torsy kobiet, niosących owoce, jarzyny, ryby, mięczaki, ssawce, jednem słowem okazy całej historyi naturalnej jako dań słuszną i sprawiedliwą dla żołądka ludzkiego.

To całopalenie jednak nie przypomina nic z krwawych ofiar. Owszem, tony delikatne, barwy łagodne, twarze uśmiechnięte wśród kwiatów i wazonów w tym samym stylu. Jeden jeszcze szczegół nie artystycznej natury: przyjemność posilania się w sali podobnej, opłaca się mniej więcej ceną dwa i pół raza większą od normalnej.

Ragaz tak jest piękny, że z trudnością trzeba się decydować na dalsze spacery nad Ren, do Pfäfers i na klasyczną wycieczkę koleją zębatą na Wartenstein. Waganiki tej drogi są ciekawie urządzone: jeden przymocowany na końcu żelaznej liny u szczytu góry, napełniają wodą u spodu do objętości 4000 litrów. Ten spuszczając się swym ciężarem, podnosi drugi wagon u stóp góry, opróżniony z balastu wodnego, ale za to z pewną ilością pasażerów, którzy chcą się przekonać jak wygląda świat kilkaset metrów powyżej. Celem podniesienia pustego wagonu, napełnia go konduktor 1500 litrów źródlanej wody i na każdą osobę dodaje 100 litrów więcej. Tak zaprowidowany pociąg, po sprawdzeniu telefonicznem danych cyfr ciężaru, puszcza się na złamanie karku stromą pochyłością, przez tunele, tam gdzie góry nie można było rozkopać, albo na kilku arkadach przerzucając się przez wklęsłości ziemi.

W czasie tej dwudziestominutowej wycieczki roztacza się bardzo piękna panorama, chociaż nie dorównywująca może widokom nad Taminą wzdłuż cztero kilometrowej drogi, wyciętej w skale jak sławny Axenstein nad jeziorem Czterech kantonów. Rury z ciepłą wodą prowadzą gdzieś skryte wzdłuż tej drogi tak, że z śladu ręki ludzkiej widzi się tylko odłamami skał ubezpieczoną, gładką choć wąską drogę. A zresztą pionowe ściany skał, skrawek nieba jasnego, ściana zieleni na zwietrzałych głazach naprzeciw, a środkiem biała piana Taminy żłobiącej granit swym miękkim kroplistym puchem. Gdyby tylko ta śliczna rzeka mogła być mniej wrzaskliwą, ale cóż musi swą kobiecość objawiać hukiem i pospiechem szalonym ku bezpowrotnemu zapomnieniu w falach Renu.

Po tej łagodnej pochyłości rozkosznie byłoby potoczyć się ku krainie Dunajców, gdyby nie to, że natłoczone zgiełkliwe jarmarki świata, powołują podróżnych do zgęszczonych jak extrakt Liebiga wrażeń, teatrów, elektrycznych i wodnych pałaców, cudów tysiącą i jednej sztuki, kiedy jedna darń lub skręt lasu zawiera nieprzebrane skarby ciszy, pociech i szczęścia.

Marya Piechocka.

Humor teatralny.

Rzecz naturalna, iż nie będę mówił o humorze i dowcipie, który tryska z komedyi lub farsy; tem mniej obchodzić mnie może śmiech zadowolenia wybuchający z ust buchaltera teatralnego na widok pełnej kasy. Humor o którym chcę pisać, ma swoje źródło w samym zawodzie scenicznym, kulisy są ulubioną jego siedzibą, a najważniejszą oznaką zewnętrzną — mimowolność. Nerwowa atmosfera teatralna, przesycona zapachem szminek i mastyksu, nadaje tym „kawałom" specyalny i odrębny koloryt, to też przedstawiają się one najlepiej na miejscu i tam też słyszane, największe wywołują wrażenie. Ciasna garderoba rozgrzana lampkami żarowymi, stuk drzwi gwałtownie otwieranych i zamykanych, aktorzy prowadzący wśród ubierania się wieczne, nigdy nie milknące walki z fryzyerem, oto tło, które uzupełnia dopiero te wyskoki mimowolnego humoru. Trzeba zaś przyznać, że jeżeli humor, zwłaszcza... mimowolny, jest wyrazem pewnego rozdrażnienia umysłu, w takim razie kulisy są najurodzajniejszą dlań glebą. Wszystko tam składa się na to, aby wprawić nerwy w gorączkowe drganie, bo względny spokój panujący w państwie płóciennej złudy, doznaje przerw ciągłych a niespodziewanych. Co chwila daje się słyszeć jakiś nowe, obco brzmiące zjawisko dźwiękowe. Za sceny dochodzi tubalny głos hałasującego inspicyenta, który „prosi o spokój", od czasu do czasu głośniejszy ton międzyaktowej muzyki przedrze się przez spuszczoną kurtynę, od czasu do czasu gromki głos „bohaterskiego amanta" lub „rezonera" zadźwięczy po akustycznym korytarzu, a usta, których za chwilę wypłynie miłosne zaklęcie lub patetyczna modlitwa, wyrzucają w groźnem crescendo:

— Krawiec!

. . . .

— Krawiec!!

. . . .

— Krrrawiec!!!

. . . .

A tuż obok, przez ścianę niemal, szumi morze publiczności, żądne wrażeń, czułe na każdą śmieszność, istna chmura, w której drzemią gromy oklasków lub złowrogie syki i poświsty niezadowolenia. Aktor podniecany tem wszystkiem wychodzi na scenę, fala światła zalewa mu oczy, pod nogami ma „deski świat przedstawiające", przed sobą widzi czarną przepaść... Głos stłumiony płótnem kulis wraca z powrotem do gardła, w miejscu jednej, urastają biednemu histrjonowi po trzy lub cztery pary rąk i nóg, a on nie wie co ma począć z jedną...

Czyż więc można się dziwić, że oślepiony, ogłuszony, drżący od tremy i zdenerwowania aktor, powie zamiast „nóż i łyżka" „łyż i nóżka", lub miasto wyrzucić z piersi rycerskie wezwanie:

„Mości rotmistrzu, czekają na wale,
Szturm się rozpoczął" — wyjąka:
„Mości szturmistrzu czekają na wale,
Rotm się rozpoczął"...

A taka omyłka jest nie do naprawienia, każde usiłowanie wybrnięcia pogrąża jeszcze głębiej nieszczęśliwca, zwykle więc przelatuje on co rychlej przez fatalne miejsce, aby nie zwrócić uwagi publiczności na „sypkę".

Takie bowiem przekręcenie tekstu nazywają w żargonie zakulisowym „sypaniem się", a poszczególny wypadek „sypką". Są niektóre sztuki, niektóre miejsca w sztukach, a nawet i niektórzy.... aktorzy, słynący z licznych „sypek". Jedną z takich sztuk jest „Obrona Częstochowy", w której oprócz wyżej cytowanego „szturmistrza" czyhają na aktora miejsca uświęcone już przez tysiączne „zasypania się", jako to:

„Mówią, że jakaś niewiasta w purpurze
Zwracała ku nam armaty na górze",

które to wiersze brzmią bardzo często:

„Mówią, że jakaś niewiasta na górze
Zwracała ku nam armatę w pur-
[purze".

Jedna z dziewcząt woła na widok zranionego ojca:

„Nieba! Mój ojciec znowu ranny!"

Ustęp ten słyszałem wypowiedziany z nadzwyczajnem uczuciem:

Nieba! Mój ojciec znowu umarł!

W roli Wrzeszczowicza jest zdradliwy ustęp: „Przeklęte mnichy! wszędzie muszą wściubić swój nos... golony!

Najsłynniejszą jednak z „częstochowskich sypek" jest bezprzecznie nieszczęsny frazes:

„Szwedom nie dajcie Częstej Świętochowy!", który już niejednokrotnie obudzał serdeczną wesołość audytoryum.

„Sypanie się" jest często nieodłączne od tremy, to też debiutanci wzbogacili „kawałologię" zakulisową setkami przykładów. Jest np. w „Wilhelmie Tellu" ważna rola „pierwszego z ludu", który na zapytanie hrabianki — czy mularz, spadły z dachu zamku Zwing-Uri żyje, ma wypaść z kulis odpowiadając ponuro: „Już nie!" Jeden z dobrych dzisiaj aktorów polskich, debiutując w tej roli, odpowiedział w zdenerwowaniu: „Jeszcze nie!" co zjednało mu grzmiące i długotrwałe oklaski.

Nie trzeba jednak sądzić, aby tylko debiutanci mieli przywilej „sypania się" na scenie. Starzy, posiwiali na poufnych konferencyach ze sufletem artyści improwizują nieraz rzeczy, o których się autorowi nie śniło.

Od debiutantów różni ich tylko sposób „sypania się" który polega na tem, że aktor, płynący za sufletem — sternikiem po burzliwem morzu nieumianej roli, trafiwszy na jakąś skałę, nie tonie odrazu lecz nakształt przedziurawionego okrętu, zachwieje się naprzód raz, drugi, przystanie i dopiero po głębokim namyśle, wymieniwszy ze sufletem kilka sygnałów ratunkowych — „sypie się" z niezwykłą pompą. Przygody takie są bardzo częste, czemu nie można się dziwić, zważywszy, iż ufność okazywana sufletowi przez aktorów przechodzi czasem wszelkie wyobrażenie. Istnieją np. aktorzy, którzy wróciwszy po roku spędzonym dajmy na to, w Warszawie, na scenę lwowską, dostają do ręki rolę, przypuśćmy, księdza Marka w „Konfederatach barskich" Mickiewicza, graną już przez siebie najmniej 25 razy. Skrypt roli podlega gruntownemu zbadaniu... zewnętrznemu, a bezpośrednim tego skutkiem jest wykrzyk:

— A cóż to ma znaczyć? Znowu dajecie mi inne tłomaczenie?...

Wobec takich wypadków pomijam drobnostki w rodzaju: „przebacz Pani skróconemu grzesznikowi" (skruszonemu), albo „do widzenia, odjeżdżam twoją barkarolą" (zamiast „gondolą"), przechodząc do ważniejszych rzeczy.

Np. Hamlet ma obaczyć ducha ojca na tarasie zamkowym między jedenastą a dwunastą i żegnając się z przyjaciółmi, powiada:

„Czekam was między dwunastką a trzynastką nad tarasem!

„Prezes" w „Kordyanie" wygłaszał z wielkiem namaszczeniem słowa:

„A kiedyś, uderzymy w zmartwychwsta-
[nia dzwony,
Tak, że odgłosem tronów zachwieją się
[trąby,..."

zamiast jak chciał Słowacki:...

„Tak, że odgłosem, królów zachwieją
[się trony..."

Zdziwienie wywoływało także odezwanie się jego:

„... oto klęczę u ołtarza progu.
Lecz nie przed tobą klęczę Kordyanie,
[przed tobą,...."

bo mało kto nie wiedział, że tekst opiewa:

„...,. Lecz nie przed Bogiem klęczę
[Kordyanie...."

Ten sam „Kordyan" dał nam jeszcze sposobność do usłyszenia od cara Aleksandra że go „ktoś za gardło dusił harfą" oraz, że sen jest „sumienia szarfą", po której grają wichry strachu..."

Wogóle, brylantowy wiersz Słowackiego zwodzi aktorów często na manowce „sypek". Dowodem tego „Sen srebrny Salomei" w którym na własne uszy słyszałem groźbę Regimentarza wystosowaną do księżniczki:

„. . .Milcz dziewko,
Bo ci żupana podlewką
Krwawą namaluję usta!

Prócz tego dostał się gadatliwej księżniczce, „konterfektowi szpaka", jak ją nazywa Słowacki, wcale nieciekawy epitet: „Konterfekcie szkapa", Sawa głosił zaś zdumionemu audytoryum, że pani Gruszczyńska trzymała „Dziateczki swoje bez nóżek — Za nóżki zimne, zielone ..."

Tak zwane „ratowanie sytuacyi" jest często powodem gruntownego „zasypania się" kilka osób odrazu. — W pewnej sztuce oczekuje na scenie towarzystwo przybycia dwóch panów, którzy tymczasem zabawiają się w garderobie szlachetną grą w domino, zapomniawszy na śmierć, iż mają wchodzić za chwilę. Wpada zadyszany inspicyent:

— Panowie! Na miłość Boską! Tam pauza!!

Ogólny popłoch i gonitwa na scenę, gdzie tymczasem jeden z aktorów „ratuje sytuacyę", mówiąc dla zapełnienia przerwy:

— „Widzę ich, (przykłada rękę do oczu) idą tutaj, przystanęli (wpatrzony w prawą kulisę) rozmawiają, za chwilę tutaj będą..."

W tej chwili spóźnieni goście, którzy nie mieli czasu obejść do około scenę, jak to powinni byli zrobić, ukazują się.. za plecami tego, który „widział" ich w przeciwnej kulisie...!

Annały teatralne mają prócz „sypek" specyalne karty t. zw. „kawałów dyrektorskich", z których wyjmujemy jeden — prawdziwy.

W „Hanusi" Hauptmanna występuje pewna ilość żebraków, którzy w stosownej chwili wołają na ojca Hanusi: „Morderca! Morderca!" wyciągając przytem ręce ze stosownym gestem.

— Bardzo proszę, aby nikt z panów nie miał na ręku mankietów lub broń Boże pierścieni, bo to mogłoby zburzyć całą iluzyę!

Tak mówił dyrektor do aktorów.

Zaczyna się przedstawienie, łachmaniarze przygotowują się do uroczystego wyklęcia nikczemnego ojca — gdy wtem zjawia się pośród nich jakaś w czarny płaszcz okutana postać — nadliczbowa.

To dyrektor przyszedł skontrolować czy kto nie wykroczy przeciw wydanemu zakazowi. I — podziwiajmy przezorność dyrektora — wśród rąk podniesionych do góry odznacza się jedna, zdobna w piękny biały mankiet ze wspaniałą spinką i bogate pierścienie!

Biżuterye zwróciły uwagę przeklinających łachmaniarzy.

— Patrz, szepnął rudy Edek do czarnego Bolka, patrz na tego łotra z tombakowym sygnetem! Wdział go umyślnie, aby dyrektor nas potem wymyślał!

Bolek, nic nie odpowiadając, podsunął się tylko trochę bliżej ku upierścieniowanemu żebrakowi. Za chwilę ten ostatni wydał głuchy jęk usiłując wycofać się ze sceny. Ale już z drugiej strony czyhał Edek i podparł chwiejącego się uciekiniera potężnym szturchańcem w żebra.

— Czekaj, psiaparo! Odechce ci się pierścionków!

Nowa serya kułaków spadła na „bogatego nędzarza", który stęknął boleśnie, powtarzając odtąd to samo co kilka sekund, gdyż Bolek z Edkiem dogrzewali mu nie na żarty....

Wreszcie żebracy schodzą ze sceny. „Ubrylantowany" nadludzkimi skokami pożerał przestrzeń dzielącą go od drzwi, a pośpiech taki dawał się łatwo uzasadnić tem, iż Bolek i Edek siedzieli mu prawie na karku grzmocąc co się wlazło...

— A to łajdak!

— Wal go!

— Zmykasz teraz?!!

— Daj mu Bolek!!

Przez korytarzyk i schody idzie szalony wyścig z przeszkodami. Bolek zaplątawszy się we własne łachmany, chybił uciekiniera, i palnął kułakiem w mur, zdrapując sobie skórę z ręki. Edek zawadził nosem o żelazną futrynę drzwi, wreszcie zmykający żebrak przekonał się kilka razy, że architekt zbudował teatr z cegieł nieco twardszych niż jego głowa — ale mimo to pędzą jak szaleni.

Już, już ma nieszczęsny dziad dostać się w żylaste ręce swych kolegów po torbie, gdy wtem okrzyki wściekłości obwieszczają światu, że ofiara zdołała uniknąć niechybnego, z pozoru sądząc, „lania"...

— A to szelma!

— Patrzaj go!

— Jeszcze ja cię dostanę!

— Poszedł na skargę do dyrektora!

Ścigany łachmaniarz schronił się rzeczywiście do dyrektorskiego gabinetu, zatrzaskując prześladowcom drzwi przed nosem, możemy jednak upewnić czytelników, iż nie zaniósł skargi na tych co go pobili...

Przyczyna zaniechania zemsty leżała prawdopodobnie w tem, że tym ubrylantowanym łachmaniarzem był . . . . sam dyrektor!

Nostradamus.

Z literatury powieściowej.

(Andrzej Niemojewski. „Listy człowieka szalonego“. Warszawa. Nakład Gebethnera i Wolffa. — Ludwika Jahołkowska — Koszutska (Lasota). „Z teki wrażeń“ Warszawa Nakład M. Borkowskiego).

Człowiek szalony Andrzeja Niemojewskiego wydaje mi się wprawdzie dziwakiem, lecz nie pozbawionym wcale zdrowych zmysłów, jakkolwiek autor pragnie przedstawić go jako waryata. Wprawdzie nie uznaje hasła „sztuka dla sztuki“, kocha ludzkość i współziomków, wielbi Grottgera i Matejkę, niecierpi „pozy“ i „fuszerki“, ceni zaś talent prawdziwy i szczere natchnienia, ale przecież i między normalnymi ludźmi znałem wielu, którzy z podobnemi uczuciami i podobnem wyznaniem wiary nie mieli miru w bliższem i szerszem otoczeniu. Przeróżni „pozerzy“ i „fuszerzy“ krytykowali ich i potępiali wytrwale. Zarzuciłbym mu może tylko, że pomimo wrodzonej dobroci i gorących pragnień poprawienia niektórych paragrafów umowy społecznej, jest dość często złośliwy, a niekiedy pedantycznie surowy, co także jednak nie jest wcale dowodem szaleństwa. „Listy“ jego to satyra na artystyczne stosunki warszawskie, „Podfilipski“ Weysenhoffa był satyrą na towarzyskie stosunki arystokratycznego i plutokratycznego świata. Bez racyi opatrzył ją Niemojewski pretensyonalnym tytułem, nieodbijającym w sobie ani treści, ani celu utworu.

Autor — jakby niezawodnie powiedział jeden z jego bohaterów — jest „spryciarzem“, wie zatem, że satyra sama przez się wypełniająca cały tom dość duży, zwłaszcza, że nie illustrowana budzącemi ciekawość migawkowemi fotografiami z natury, nie znalazłaby czytelników, więc zręcznie wplótł w nią dramatyczne opowiadanie o biednej Bronce, córce zrujnowanego szlachcica, uwiedzionej nikczemnie i podstępnie przez niepona, należącego do pozłacanej młodzieży. Nieszczęśliwa dziewczyna dostaje się następnie, jako modelka, do pracowni malarzy. Przerzucana z jednej do drugiej jak piłka, igraszka zmysłowych chuci i kaprysów „nadludzi“, spotyka w pośród nich „człowieka szalonego“, który pragnie i postanawia wyrwać ładne stworzenie, o „zielonych oczach“, z otchłani zepsucia. Bierze się do tego jednak niekoniecznie właściwie i umiejętnie, wywozi bowiem zbłąkaną owieczkę do Krakowa, gdzie jak wiadomo znajduje się wzorowy zakład, prostujący skrzywione istnienia podobnych panien. Lecz zamiast oddać Bronkę do zarogatkowego instytutu Magdalenek, zachwyca się Grottgerem i Matejką, rozprawia o sztuce uspołecznionej, ironizacyi na na temat nowoczesnych kierunków, a pupilkę powierza opiece jakiegoś pana Ludwika, prawdopodobnie niewiele lepszego od jej warszawskich wychowawców samoluba, którego Bóg wie za co, zaszczyca stałą i szczerą korespondencyą. (Niekonsekwencyę taką możnaby istotnie nazwać waryactwem.) Poczem wraca do rodzinnego miasta, obraża malarza Julka, dekadenta nad dekadentami i pojedynkuje się z nim za grochowskiemi rogatkami. W pojedynku pada raniony. Bronka, wezwana listownie, przybywa do jego mieszkania i pielęgnuje „nudnego“, ale litującego się pana, z pieczołowitością siostry miłosierdzia. Przy łożu „szalonego“ poznaje poetę Rymkosia, młodzieńca, pełnego cnót i przymiotów. Rymkowski, syn chłopa, który wysiłkami pracy i poświęcenia zdobył wykształcenie i stanowisko w piśmiennictwie, jest naiwny, jak nowonarodzone niemowlę. (Druga niekonsekwencya, męczeńskie bowiem przebijanie się przez ciernie i głogi życia, odziera zwykle najniewinniejszych z szaty wszelkiej naiwności.) Patrząc na bratnią opiekę pięknej modelki, jaką ona otacza jego przyjaciela, zakochuje się w dziewczynie całą mocą prostej i szlachetnej duszy.

Tu wspomnieć należy, że dzielny chłopak niezna przeszłości upadłej szlachcianeczki, a nawet nie ma o niej pojęcia. Więc „człowiek szalony“ namawia modelkę i niemal jej nakazuje, by wszystko przed młodym wieszczem wyznała. Bronka, chociaż kocha (a może dlatego właśnie, że kocha) nie śmie wyspowiadać się ze swoich grzechów. Wahanie jej i obawy odmalował autor bardzo udatnie z wielce estetyczną miarą wykwintnego realizmu. Ona już wie, że najbliżsi i nawet najlepsi nie posiadają wyrozumiałości, rozgrzeszającej nieświadomość, sprowadzoną uczuciem z prostej drogi. Wszakże niedawniej jak dziś rano spotkała na ulicy Marszałkowskiej swego ojca — ukochanego, smutnego, siwiuteńkiego „tatuńcia“ — a on, gdy go chwyciła za łokieć i dłonie starca ucałować chciała, nawet twarzy ku niej nie zwrócił i słowa nie wyrzekł, tylko patrząc przed siebie, ramieniem (przez nią ujętem) „odgarnął“ córkę lekko i od serca swego odepchnął. Dla wykolejonej i wyklętej niema miłości, ani nadziei, ani przebaczenia. Egoizm społeczny w takich razach na szczodrość zdobyć się nie może. Zresztą, czem skorupka za młodu nasiąknie... Znacie państwo dalszy ciąg przysłowia. Bronka, zaproszona na „bibkę“ do Julka, zjawia się na niej jakby z przyzwyczajenia, jakby z nałogu, który stał się drugą jej naturą. Upojoną likierem i rozpaczą biorą dekadenci na ręce i podnoszą w górę. Ona zaś, zgorączkowana, rozdrażniona, z czerwonemi wypiekami na policzkach, woła głośno: „Co tam!... Niech żyją nadludzie!“ W tem Rymkowski, zaproszony także przez artystów, ale poźniej od wszystkich przybywający na ucztę, ukazuje się we drzwiach. Dziewczyna spostrzegła narzeczonego, więc nagle się ocknęła. Marną duszyczkę przejmuje lęk okropny. On nie przemówił do niej. Odwrócił się, wyszedł... i przepadł w szerokim świecie. Ona, tego samego dnia nad ranem, utopiła się w Wiśle.

Do tej historyi, naszkicowanej z niezaprzeczonym talentem powieściopisarskim, czystemi półtonami i artystycznemi półzarysami, przypiął autor mnóstwo uwag, zdań, poglądów i spostrzeżeń o sztuce i poezyi, oraz o ich kapłanach. Gderząc, gniewając się i szydząc, nieraz myli się i błądzi, nieraz wydaje sąd niesprawiedliwy, lecz wszystko, co mówi, wypowiada z taką szczerością, tak śmiało i odważnie, z taką głęboką wiarą, że doprawdy czyta go się z prawdziwą przyjemnością, niekiedy nawet z rozkoszą. Zwłaszcza, że pisze językiem polskim o nieskalanej przejrzystości. Mienią się w nim najcudniejsze tęczowe farby, łamiąc się — jak w krysztale — promienie słoneczne. Niekiedy wprawdzie w styl jego wytworny wplatają się barbaryzmy, używane w pracowniach malarskich, lub zwroty, noszące na sobie znamiona gwary ulicznej („Przypuszczałem, że się pan rozkleił pod wpływem zielonych oczu Bronki“); czasem jakiś frazes dekadentycznie-górnolotny — istne czupiradło — strzeli z peryodów rzeźbionych misternie, jak raca o karykaturalnym kształcie; wszystko to razem jednak przedstawia się nader charakterystycznie. Autor tym sposobem właśnie — właściwie i wiernie — maluje środowisko, służące mu za tło kompozycyi. Nie za wadę zatem, lecz za zaletę poczytać mu należy „żargonowe“ zabarwienie kolorytu stylowego. Przytem cała powieść, czy satyra (jak kto woli), dysze swojskością, równie w obrazowaniu tematowego wątku, jak i w technice pisarskiej. Takiego, jak on „modernistę“ niepodobna posądzić o naśladownictwo zagranicznych wzorów. Groty ironii i szyderstwa uskrzydla mglistym pióropuszem rodzinnej tęsknoty i tuziemczego liryzmu, przypominającego „sercem gryzę“ Słowackiego. Porusza figurami (nieco przejaskrawionemi) z wielką swobodą, puszczając je kiedy niekiedy w bieg tak szalony i oszałamiający, jak wir hulaszczej zabawy w gronie rozochoconej młodzieży. A przecież każdy z podobnych momentów nie jest wciśnięty w tok opowiadania jako pieprzna przyprawa, albo jako lep na łatwych i wesołych czytelników, albo wreszcie jako ustępstwo dla gawiedzi, nieprzełykającej poważniejszej treści bez drastycznego urozmaicenia; Niemojewski bowiem, chociaż realista, bardzo dyskretnie uplastycznia w artystyczne sceny. Książka jego nie jest wprawdzie dla panienek, ale nikt się nią nie zgorszy. To też wobec wszystkiego, co wyżej, przebaczyć mu należy zbyt uszczypliwe nieraz i nienawistne, często zaś nader niesłuszne przycinki, jakiemi ściga plejadę najmłodszych artystów i pisarzy, mianujących się „Młodą Polską“. Wypływają one z kierunku myśli „szalonego“, który wierzy, że „gdyby człowiek chciał wszystko wyrazić piórem, musiałby je wystrugać z sumienia i maczać nie w atramencie, ale w ludzkich łzach i ludzkiem cierpieniu“.

„Z teki wrażeń“ można także poniekąd uważać za satyrę, ośmieszającą konwencyonalizm i błahość tak zwanego intelligentnego „towarzystwa“ warszawskiego, oraz „snobizm“ jego wyobrażeń i poglądów na życie i sztukę. Rozsnuła ją autorka na kanwie rozlicznych impressyj chwilowych, badań psychicznych, krytycznych sensacyj, nakreślonych na tłach „interieurs“ miejskich i krajobrazów tarańskich. Wycięła do niej ramy (wprawdzie wątłe i szczupłe, ale ładne) z czystej miłości stryjecznego brata do zamężnej stryjecznej siostry, umierającej na suchoty w Meranie. Służą one jedynie za pretekst do notowania wrażeń i spostrzeżeń, nieraz bystrych i głębokich, nieobarczonych ani sentymentalną romansowością, ani zmysłowym artyzmem. Chociaż styl pani Jahołkowskiej-Koszutskiej grzeszy czasem dziwolągami zmanierowania i przesady — jak np.: „W koszuli bezpieczeństwa dopatrzył Prometeuszowych więzów“, albo: „Jako byłej pamięci piękność dba niezmiernie o doczesny futerał swych wewnętrznych zalet“ — posiada jednak przytem wiele zalet literackich. Książka — o ile się zdaje — debiutantki, jest dziełem osoby, obejmującej wzrokiem duszy szersze horyzonty cywilzacyjne, wyróżniającej się indywidualnością sądu, opartego po części na lekturze, ale także i na własnej obserwacyi. Uczuciem ją ogrzewającem — bardzo kobieca, rozwagą analityczną — nieraz męzka, technicznem wykonaniem — wcale artystyczna, interesująca — nowoczesną oryginalnością myśli, wydaje mi się obiecującym zadatkiem świeżego talentu, który prawdopodobnie w bliższej lub dalszej przyszłości rozwinie się pięknie.

Zygmunt Sarnecki.

Kronika wypadków świata.

30 sierpnia.

Król Karol rumuński przybył do Ischl, dokąd udał się także hr. Gołuchowski.

Buller obsadził Machadodorp straciwszy dużo ludzi w rannych.

Z Taku podążają Japończycy na Paotingfu, dokąd idą też oddziały z Pekinu. W Pekinie niema już bokserów. Rosjanie chcą zburzyć letni pałac cesarski. W Szangaju odkryto spisek mający na celu spalenie miasta. Rennenkampf zdobył 10 dział chińskich i wielkie zapasy. Urzędowe dzienniki niemieckie ogłaszają artykuły pełne obaw i podejrzliwości pod adresem Rosji.

Cesarz Mikołaj II. przesłał księciu Czarnogóry gratulacje na 40 lecie panowania wraz z portretami rosyjskich carów, oprawnymi w brylanty.

Strejk fiakrów w Paryżu zakończył się porażką strejkujących.

31 sierpnia.

Gaselee wstrzymuje pochód wojsk angielskich z Hongkong ku północy. W Kantonie wybuchły zaburzenia uliczne. Japończycy obsadzili letni pałac cesarski w Pekinie. Z Amoy wywędrowała połowa ludności.

Buller łączy się z Frenchem i Polecarewem i gromi Burów.

Szach perski odjechał z Hagi do Marjenbadu.

Papież przyjmuje w bazylice św. Piotra 10.000 pielgrzymów.

1 września.

Wicekról Kantonu zawiesił wydawnictwo kilku gazet chińskich. Siedm tysięcy wojsk rosyjskich podąża ku Mandżuryi. Czarne flagi podążają ku miastom Hankan, Nankinowi i Kantonowi, plądrując misje. Nadchodzą bliższe szczegóły o nocie rosyjskiej w sprawie opróżnienia stolicy Chin i o odpowiedzi Ameryki, wymijającej, chwiejnej, raz potakującej to znów pełnej zastrzeżeń.

Buller, French i Polecarew zajmuje Helvetiafarm, pędząc przed sobą nieprzyjaciela. Burowie gotują się do ataku na Ladybrand. Jeńcy angielscy w Noitgedacht zostali na wolność wypuszczeni.

Cesarz Franciszek Józef wraca do Wiednia, gdzie się odbywają narady nad rozwiązaniem przesilenia państwowego.

2 września.

Dzienniki londyńskie donoszą, że lord Roberts wydał proklamacyę, ogłaszającą anektowanie Transwaalu przez Anglję.

W Stanach Zjednoczonych Ameryki północnej zaszła katastrofa kolejowa przy stacyi Hatfield. Pietnaście osób zabitych, czterdzieści rannych.

Rosja wydaje posłowi Giersowi i jenerałowi Leniewiczowi rozkaz opuszczenia Pekiinu. „Prawit. Wiestnik“ ogłasza komunikat wyjaśniający stanowisko Rosji.

Krążą pogłoski o traktacie rosyjsko-japońskim, według którego Rosja ma zająć Mandżurye, Japonja zaś Koreę. Japonja wycofała wojska swoje z Amoy.

W południowej prowincyi Szansi zamordowany został w okrutny sposób przez Chińczyków misyonarz Alberico Crescitelli.

W Narbonne aresztowano przybyłego z Buenos-Aires anarchistę Guiappa.

3 września.

„Leipz. Neu. Nachr.“ ogłaszają dopisek Wilhelma: „Telegrafować do Bendemanna, żeby za każdego zabitego Niemca zbombardował jedno miasto chińskie“.

W środkowych Chinach plądrują czarne flagi.

Jen. Rennenkampf zajął Cicikar w Mandżuryi.

Roberts formalnie zaanektował Transwal. Pułk. Plumeo odnosi nieznaczne zwycięstwo.

Sułtan z okazyi jubileuszu 25-letniego wydał obiad galowy, na którym obecni byli wszyscy dyplomaci. W Yldiz-Kiosku odbyło się przyjęcie ambasadorów, posła papieskiego i deputacyj.

Rosyjski minister skarbu Witte przybył do Paryża.

Dżuma w Glasgowie przybiera poważne rozmiary. W szpitalu leży 30 osób, a 83 osób jest pod obserwacyą.

4 września.

Li-Hung-Czang usiłuje wprowadzić nieporozumienie między mocarstwami.

Podobno wojska sprzymierzone zrabowały doszczętnie Pekin. Całe miasto w gruzach.

Sekretarz austr. poselstwa Rosthorn z kilku rannymi przybył do Taku.

Grodekow zdobył Ningułę i uspokoił ludność. Chińczykom zabrano dużo dział.

Cesarz Mikołaj wystosował do Loubeta list nadzwyczaj serdeczny wraz z orderem św. Andrzeja pierwszej klasy.

Rząd serbski postanawia skasować apanaż króla Milana w wysokości 300.000 franków.

W Galicyi odbywają się sejmowe wybory uzupełniające. Posłami zostali wybrani pp. Milewski, Struszkiewicz, Miecz. hr. Piniński, Marjewski, Maiss, Jugendfein, Jaworski, Schätzel i Oleśnicki.

Pięciuset Boerów uwalnia rodaków zamkniętych w więzieniu w Klipriver, na południe od Johannesburga i zaopatruje ich w broń.

Jen. Buller przeprawia się przez rzekę Krokodylą ku Lydenburgowi; Boerzy koncetrują się w górach Krokodylich.

5 września.

Botha broni pozycyj pod Lydenburgiem przeciw atakowi Bullera.

Dżuma w Glasgowie w Anglii rozszerza się coraz bardziej.

Rozwiązanie austryackiej Rady państwa zostaje zadecydowane.



HUMOR.

Mówił andrus do andrusa
W przyjacielski ton wyrzutów:
Musi z tobą sprawa kusa
Skoro chodzisz już bez butów
Może się kurujesz rosą,
Zwolennikiem będąc wody

I mój bracie chodzić boso
Dla Knajpowskiej chcesz metody?
— Tak! lecz *feler* jest malutki
Odrzekł zagadnięty na to,
To nie z wody tylko z *wódki*
I nie Knajp, lecz *knajpa* za to.

K. K.

Motto: *Cudze chwalicie, swego nie znacie —*
Sami nie wiecie, co posiadacie.

P. T.

Podejmując poprzednie wydawnictwo „Kraj w obrazach" z przekonaniem, że nowość ta zainteresuje najszerszy ogół, starałem się przez dokładność materyału i dbałość o estetyczną stronę wydawnictwa, na które to warunki główny kładę nacisk, odpowiedzieć zadaniu pierwszorzędnej publikacyi illustrowanej z treściwemi, możliwie dokładnemi objaśnieniami, dotyczącemi dat historycznych, tudzież szczegółów odnoszących się do przeszłości i teraźniejszego stanu danej **okolicy, miasta, gmachu** lub **zabytku historycznego,** zebranych przez pierwszorzędnych pisarzy naszych. Ukończyłem Seryę I. „Królestwo Polskie" i przystępuję do wydawnictwa Seryi II. „Galicya w obrazach".

Wydawnictwo składać się będzie z 24 do 30 zeszytów, a każdy zeszyt obejmie widoki fotodrukowe w rozmiarze 19|24 ctm., a w ten sposób Galicya utworzy album z około 120 obrazów.

Odpowiedzialny redaktor na Galicyę: *Edmund Kolbuszowski.* Wydawca: *Konstanty Woźniak.*

WARUNKI PRENUMERATY:

NA

„GALICYĘ W OBRAZACH"

Cena pojedynczego zeszytu wynosi 60 hal. (groszy).

Prenumeratorzy, płacący z góry przy rozpoczęciu „Galicyi w obrazach" 15 koron (za całość) bez względu na to, że ilość zeszytów odpowiednio do materyału może być powiększona, otrzymają ozdobną okładkę za połowę ceny sprzedażnej.

Nadto za przysłaniem 2 koron na opakowanie z wysyłką, otrzymają

bezpłatnie 5 premij wartości 18 koron

a to: obraz **„Kazanie Skargi"** z oryginału Jana Matejki wielkości (48|63 ctm.),
Album illustrowane **„Odsłonięcie pomnika Mickiewicza w Warszawie",**
Album illustrowane **„Ogniem i Mieczem"** podług rysunku **Juliuszo Kossaka,**
Poczet **„Królów polskich"** na kredowym papierze wielkości (63|85 ctm.)
i **100 kart korespondencyjnych z widokami krajowymi.**

Z drukarni i stereotypii A. Koziańskiego w Krakowie. Odpowiedzialny Redaktor: **Kazimierz Ehrenberg.**